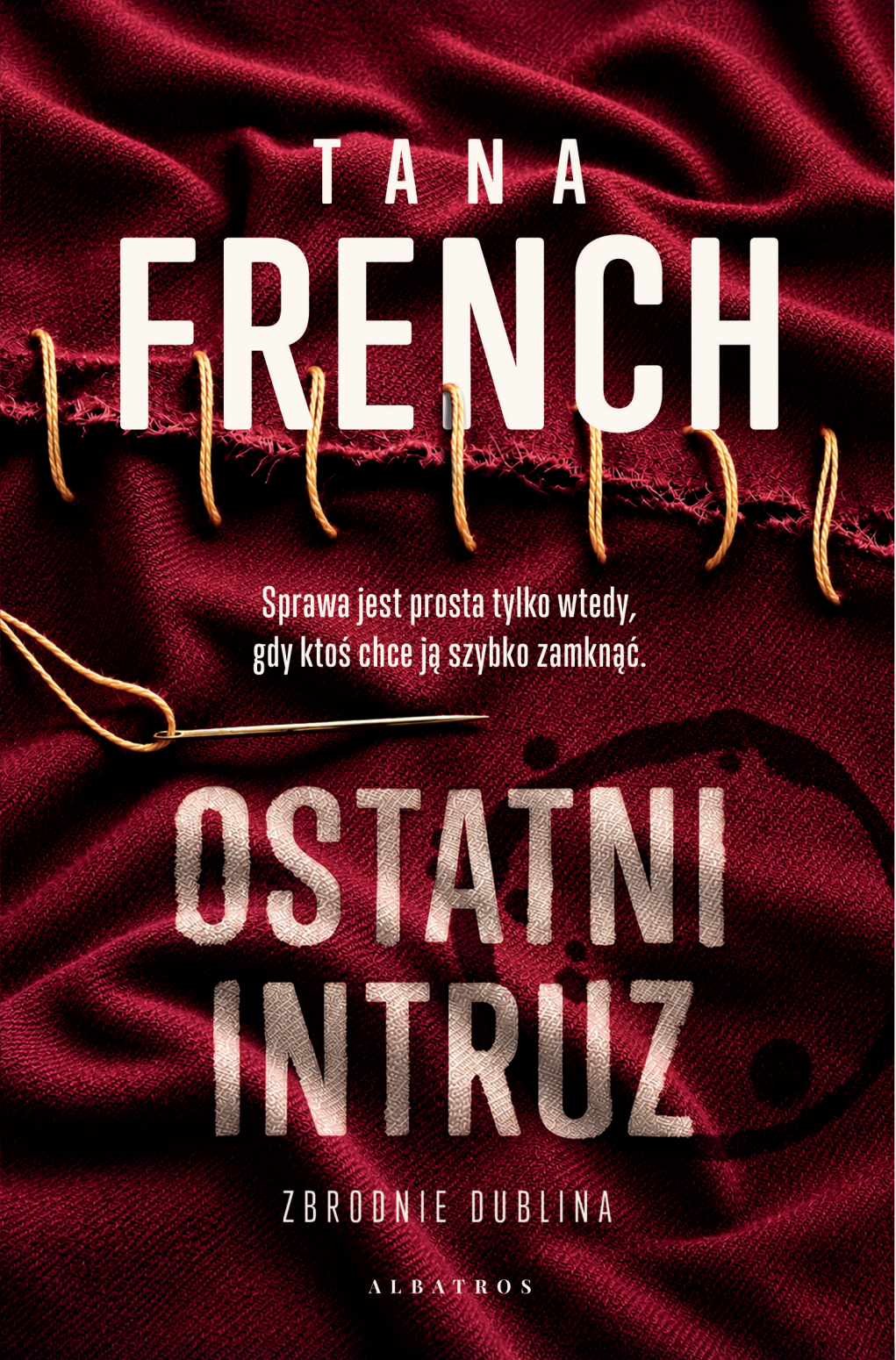

TANA
FRENCH
Sprawa jest prosta tylko wtedy,
gdy ktoś chce ją szybko zamknąć.
OSTATNI
INTRUZ
ZBRODNIE DUBLINA
ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE TRESPASSER

Copyright © Tana French 2017
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017
Polish translation copyright © Łukasz Praski 2017
All rights reserved

Redakcja: Katarzyna Kumaszewska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Zdjęcie na okładce: Vanessa Skotnitsky/Arcangel Images

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



WYDAWNICTWO
ALBATROS

PROLOG

Kiedyś mama opowiadała mi o tacie. W pierwszej wersji, którą pamiętam, był egipskim księciem, chciał się z nią ożenić i osiąść w Irlandii, tylko że rodzina zmusiła go do powrotu i ślubu z arabską księżniczką. Mama umiała opowiadać historie. Kiedy tańczyli w blasku migających świateł, na jego długich palcach połyskiwały pierścienie z ametystami, a ona wdychała sosnowo-korzenny zapach jego ciała. Leżałam pod kołdrą z rozrzuconymi rękami i nogami jak rozgwiazda, mokra od potu, jakbym przed chwilą wynurzyła się z wody – była zima, ale w naszym budynku komunalnym włączono ogrzewanie, a na wyższych piętrach nie otwierały się okna; wchłonęłam tę bajkę i schowałam najgłębiej, jak się dało. Byłam jeszcze mała. Dzięki tej historii chodziłam dumna jak paw, dopóki w wieku ośmiu lat nie opowiedziałam jej swojej najlepszej przyjaciółce Lisie, której o mało nie rozerwało ze śmiechu.

Kilka miesięcy później, gdy rana się zabliźniła, pewnego popołudnia weszłam do kuchni, zacisnęłam ręce w pięści, oparłam je na biodrach i zażądałam prawdy. Mama nie stropiła się nawet na moment: wyciskając na gąbkę płyn do mycia naczyń, powiedziała mi, że był studentem medycyny z Arabii Saudyjskiej. Poznała go, bo sama studiowała pielęgniarstwo; usłyszałam mnóstwo szczegółów – o długiej pracy, o śmiechu mimo zmęczenia, o tym, jak razem uratowali życie potrąconemu przez samochód dzieciakowi. Kiedy mama dowiedziała się, że jestem w drodze, on zdążył już wrócić do Arabii Saudyjskiej. Rzuciła college pielęgniarski i urodziła mnie.

Przez jakiś czas karmiłam się tą wersją. Podobała mi się; zaczęłam nawet w sekrecie snuć plany, że jako pierwsza z mojej szkoły zostanę lekarzem, bo przecież mam to we krwi i tak dalej. Trwało to, dopóki kiedyś, gdy miałam dwanaście lat, nie kazano mi za karę zostać po lekcjach i mama mnie ochrzaniła; powiedziała, że nie pozwoli, żebym skończyła tak jak ona, bez matury i bez widoków na coś lepszego niż praca sprzątaczki za minimalną płacę przez resztę życia. Słyszałam to już tysiące razy, ale tamtego dnia olśniło mnie, że aby studiować pielęgniarstwo, trzeba mieć maturę.

W swoje trzynaste urodziny usiadłam naprzeciwko niej po drugiej stronie tortu i oświadczyłam, że tym razem się nie wygłupiam i chcę wiedzieć. Westchnęła, stwierdziła, że jestem już na tyle duża, by poznać prawdę, i wyznała, że był brazylijskim gitarzystą, z którym chodziła przez parę miesięcy, aż któregoś wieczoru w swoim mieszkaniu spuścił jej tęgie lanie. Kiedy zasnął, ukradła mu kluczyki do samochodu i pojechała do domu, pędząc na złamanie karku zalanymi deszczem pustymi ulicami, z podbitym okiem, które pulsowało bólem w rytm pracujących wycieraczek. Gdy zadzwonił i z płaczem ją przepraszał, mogłaby mu nawet przebaczyć i wrócić do niego – miała dwadzieścia lat – tylko że wtedy już wiedziała o mnie. Rzuciła słuchawką.

Właśnie tamtego dnia postanowiłam zostać policjantką. Nie dlatego, że chciałam rozprawić się ze wszystkimi zwyrodnialcami jak jakaś Kobieta-Kot, ale dlatego, że moja mama nie umiała prowadzić samochodu. Wiedziałam, że szkoła policyjna znajduje się gdzieś na prowincji, w głębi kraju. To był najszybszy sposób, na jaki wpadłam, żeby wyrwać się od mamy i nie wpaść w ślepy zaułek kariery sprzątaczki.

Na mojej metryce widnieje informacja „Ojciec nieznany", ale są na to sposoby. Dawni znajomi, bazy danych DNA. I są sposoby, żebym dalej mogła naciskać mamę, za każdym razem coraz mocniej, dopóki nie uzyskałabym informacji bliskiej prawdy, żeby mieć od czego zacząć.

Już nigdy więcej jej nie zapytałam. Kiedy miałam trzynaście lat, spytałam, ponieważ serdecznie nienawidziłam jej za to, że tak długo

dopasowywałam swoje życie do głodnych kawałków, które mi wciskała. Gdy dorosłam i wstąpiłam do szkoły policyjnej, nie pytałam, bo chyba już wiedziałam, dlaczego to robiła, i wiedziałam, że miała rację.

1

Sprawa wpływa, w każdym razie wpływa do nas, o świcie pewnego mroźnego styczniowego dnia, w szczytowej, najgorszej, fazie zimy, kiedy ma się wrażenie, że słońce już nigdy nie wypełznie nad horyzont. Kończę ze swoim partnerem kolejną nocną zmianę, jedną z tych, których w życiu nie spodziewałam się po wydziale zabójstw: wielka porcja nudy i jeszcze większa głupot, a na dokładkę lawina papierów. Dwóch bydlaków postanowiło zakończyć upojny sobotni wieczór, używając głowy innego bydlaka jako maty tanecznej, z powodów bliżej nieznanych nikomu, łącznie z nimi. Znaleźliśmy sześciu świadków, wszystkich co do jednego zalanych w sztok; każdy z nich opowiadał zupełnie inną wersję niż pięciu pozostałych i każdy chciał, żebyśmy zapomnieli o sprawie zabójstwa i przeprowadzili dochodzenie, dlaczego zostali wyrzuceni z pubu lub sprzedano im kiepską trawkę, lub rzuciła go dziewczyna. Kiedy świadek numer sześć kazał mi ustalić, dlaczego przestali mu wypłacać zasiłek, miałam ochotę odpowiedzieć, że pewnie jest za głupi, by w oczach prawa kwalifikować się jako istota ludzka, i wywalić wszystkich na zbity pysk na ulicę, ale mój partner ma więcej cierpliwości ode mnie i między innymi dlatego trzymam go przy sobie. W końcu udało się zgrać zeznania czterech świadków nie tylko ze sobą nawzajem, ale i z dowodami, co oznacza, że możemy postawić jednemu z tych bydlaków zarzut zabójstwa, a drugiemu napaści, co z kolei prawdopodobnie oznacza, że w jakiś sposób uratowaliśmy świat przed złem, ale za cholerę nie chce mi się tego analizować.

Przekazaliśmy bydlaków do aresztu i właśnie piszemy raporty, żeby czekały przygotowane na biurku starego, kiedy rano przyjdzie do pracy. Siedzący naprzeciw mnie Steve pogwizduje, co w przypadku większości ludzi wywołuje we mnie mordercze instynkty, ale on potrafi to robić: to jakaś klasyczna stara melodia, którą przypominam sobie jak przez tuman mgły ze wspólnych śpiewów w dzieciństwie; gwiżdże ją cicho i w roztargnieniu, przerywając, gdy musi się skupić, i z wyraźną przyjemnością wracając do treli i dźwięcznych ozdobników, kiedy raport znowu zaczyna się układać.

Steve, szmer pracujących komputerów i zimowy wiatr igrający w szparach okien – tylko to i cisza. Wydział zabójstw ma siedzibę na terenie Zamku Dublińskiego, w samym sercu miasta, ale nasz budynek jest trochę z boku, w pewnej odległości od superatrakcji, dla której ciągną tu turyści, poza tym mamy grube mury; nawet hałas porannego ruchu na Dame Street dochodzi tu jako niezbyt absorbujący szum. Rozrzucone na biurkach dokumenty, zdjęcia i notatki wyglądają, jak gdyby ładowały się energią i brzęczały z niecierpliwości przed nadchodzącą akcją. Mrok za wysokimi oknami wolno się przerzedza i przechodzi w zimną szarość; w pomieszczeniu unosi się zapach kawy i gorących kaloryferów. O tej godzinie, gdybym mogła przymknąć oko na wszystkie uroki i kaprysy nocnej zmiany, byłabym zachwycona biurem wydziału.

Znamy ze Steve'em wszystkie oficjalne powody, dla których obciążają nas tyloma nocnymi dyżurami. Oboje jesteśmy samotni, w domu nie czekają na nas żony, mężowie ani dzieci; jesteśmy najmłodsi w zabójstwach, znosimy zmęczenie lepiej niż ludzie tuż przed emeryturą; ciągle jesteśmy żółtodziobami – nawet ja, od dwóch lat w wydziale – no to uszy po sobie i do roboty, gówniarzerio. Jesteśmy posłuszni. To nie jest służba w patrolu, gdzie szef jest wrednym draniem, u którego zawsze możesz złożyć prośbę o zmianę przydziału. Nie ma innego wydziału zabójstw, do którego można się przenieść; to ten jeden jedyny. Jeżeli chcesz w nim być, a oboje chcemy, bierzesz każdy ochłap.

Niektórzy pracują w takim wydziale zabójstw, na jaki dawno, dawno temu ostrzyłam sobie zęby; w miejscu, gdzie na co dzień

prowadzi się ryzykowne gry psychologiczne z psychopatycznymi geniuszami zbrodni, mając świadomość, że jeden niewłaściwy gest i spojrzenie mogą przesądzić o zwycięstwie albo kosztować życie kolejną ofiarę. Ja i Steve wyciągamy szyje, żeby popatrzeć na tych podstępnych psychopatów, kiedy chłopaki prowadzą ich obok pokoju przesłuchań, gdzie właśnie męczymy się z następnym kandydatem do tytułu Małżonka Roku w naszej nieustającej serii burd domowych, które stary ciągle nam podrzuca, bo wie, że doprowadzają mnie do szału. Idioci tańczący na głowie kumpla byli przynajmniej jakąś odmianą.

Steve wciska przycisk DRUKUJ i stojąca w kącie drukarka zaczyna rzęzić i klekotać.

– Skończyłaś? – pyta.

– Prawie. – Przebiegam wzrokiem raport, szukając literówek, bo nie chcę dawać staremu pretekstu, żeby się do czegoś przyczepił.

Steve splata ręce na głowie i przeciąga się, aż trzeszczy krzesło.

– Piwko? Powinni już otwierać pierwsze puby.

– Chyba żartujesz.

– Trzeba to uczcić.

Boże drogi, Steve jest też lepszy ode mnie w pozytywnym podejściu do życia. Posyłam mu spojrzenie, które powinno zdusić w zarodku ten powiew optymizmu.

– Co uczcić? – pytam.

Wyszczerza zęby w uśmiechu. Ma trzydzieści trzy lata, rok więcej ode mnie, ale wygląda na młodszego: może przez chłopięcą budowę ciała, patykowate nogi i chuderlawe barki; może przez ogniście rude włosy, które sterczą we wszystkie strony; może przez tę okropną, nieuleczalną pogodę ducha.

– Złapaliśmy ich, nie zauważyłaś?

– Tych dwóch złapałaby nawet twoja babcia.

– Pewnie tak. A potem poszłaby na piwo.

– Była alkoholiczką, tak?

– Skończonym moczymordą. Próbuję być wierny jej zasadom. – Podchodzi do drukarki i zaczyna sortować kartki. – Chodź, skoczymy na jedno.

– Innym razem. – Nie mam nastroju. Chcę jechać do domu, pójść pobiegać, wrzucić coś do mikrofalówki, odmóżdżyć się jakąś głupotą w telewizji, a potem się przespać, zanim znowu będzie trzeba robić to samo.

Drzwi otwierają się z hukiem i do pokoju zagląda O'Kelly, nasz naczelnik, który jak zawsze pojawia się wcześnie, żeby sprawdzić, czy przyłapie kogoś na spaniu. Zwykle przychodzi różowy i wypucowany, pachnąc porannym prysznicem i smażonym śniadaniem, z równiutko zaczesaną łysiną – nie mogę udowodnić, że chce w ten sposób kłuć w oczy zmęczonych frajerów cuchnących całonocną pracą i czerstwymi drożdżówkami z supermarketu, ale to by do niego pasowało. Tego ranka przynajmniej wygląda trochę nieświeżo – worki pod oczami, na koszuli plama po herbacie – i to chyba mój jedyny powód do satysfakcji na ten dzień, wykorzystany już na samym początku.

– Moran, Conway – mówi, przyglądając się nam podejrzliwie. – Coś ciekawego?

– Burda na ulicy – odpowiadam. – Jedna ofiara.

Pomijając życie towarzyskie, które cierpi przez nocne dyżury, prawdziwym powodem, dla którego nikt ich nie znosi, jest fakt, że w nocy nie trafia się nic dobrego. Zdarza się, że ktoś dokona godnego uwagi zabójstwa na skomplikowanym tle i z intrygującym motywem, ale dowiadujemy się o nim dopiero rano. W nocy nadchodzą tylko wiadomości o zabójstwach popełnianych przez pijanych dupków, którzy nie mają żadnego innego motywu prócz tego, że są pijanymi dupkami.

– Zaraz dostanie pan raporty.

– W każdym razie mieliście jakieś zajęcie. Wyjaśniliście?

– Mniej więcej. Szczegóły dopracujemy wieczorem.

– To dobrze. Wobec tego możecie popracować nad tym. – I pokazuje formularz ze zgłoszeniem.

Przez sekundę jak głupia robię sobie nadzieję. Jeżeli sprawa trafia do nas przez starego, zamiast przyjść do biura wydziału bezpośrednio od naszej administracyjnej, to oznacza, że chodzi o coś szczególnego. O coś, co okaże się tak niezwykłe, trudne albo delikat-

ne, że nie można tego dać byle komu, jak akurat wypada w grafiku; tu trzeba odpowiednich ludzi. Sprawa prosto od starego wywołuje szum w biurze wydziału, wyrywa chłopaków z letargu i każe im się zainteresować. Sprawa prosto od starego oznaczałaby, że ja i Steve w końcu – w końcu! – wychodzimy z kąta dla patałachów, że możemy się włączyć do gry.

Muszę zacisnąć dłoń w pięść, żeby się powstrzymać przed wyciągnięciem ręki po formularz.

– Co to?

– Lepiej nie patrz takim łakomym wzrokiem, Conway – prycha O'Kelly. – Wziąłem po drodze, powiedziałem, że zaniosę na górę, żeby nie zawracać głowy Bernadette. Patrol na miejscu twierdzi, że to wygląda na wynik zwykłej domowej bijatyki, sprawa prosta jak drut. – Rzuca formularz ze zgłoszeniem na moje biurko. – Powiedziałem, że zobaczycie, jak to wygląda. Nigdy nie wiadomo, może będziecie mieli szczęście, może to seryjny zabójca.

Nie zawracać głowy administracyjnej, akurat! O'Kelly sam przyniósł zgłoszenie, żeby zobaczyć moją minę. Nie dotykam formularza.

– Zaraz przyjdzie pierwsza zmiana – mówię.

– A wy już jesteście. Jeżeli chcesz zdążyć na jakąś namiętną randkę, lepiej się pospiesz i wyjaśnij sprawę.

– Pracujemy nad raportami.

– Jezu, Conway, to nie ma być żadne cholerne dzieło na miarę Jamesa Joyce'a. Dajcie mi to, co macie. Lepiej się pospieszcie; sprawa jest w Stoneybatter, a znowu rozkopali bulwary przy rzece.

Sekundę później wciskam DRUKUJ. Steve, wredny lizus, okręca już szyję szalikiem.

Stary podchodzi do tablicy z harmonogramem dyżurów i przygląda się grafikowi.

– Będziecie potrzebowali wsparcia – informuje nas.

Czuję, że Steve próbuje mnie zmusić siłą woli, żebym zachowała zimną krew.

– Sami damy sobie radę z prostą domową bijatyką – mówię. – Pracowaliśmy nad mnóstwem takich spraw.

– I ktoś z odrobiną doświadczenia mógłby was nauczyć, jak należy nad nimi pracować. Jak długo wyjaśnialiście sprawę tej młodej Rumunki? Pięć tygodni? Mimo że dwóch świadków widziało, jak zadźgał ją jej chłopak, a potem prasa, ten równościowy wrzask o rasizmie i że gdyby to była Irlandka, już dawno aresztowalibyśmy…

– Świadek nie chciał z nami rozmawiać. – Wzrok Steve'a błaga, zamknij się, Antoinette, ale już za późno. Połknęłam haczyk, tak jak O'Kelly przypuszczał.

– Otóż to! Dlatego, gdyby świadkowie dzisiaj też nie chcieli z wami rozmawiać, chcę mieć na miejscu starego fachowca, który ich zmusi. – O'Kelly stuka palcem w tablicę. – Zaraz przychodzi Breslin. Weźcie go. Nieźle sobie radzi ze świadkami.

– Breslin jest zapracowany – odpowiadam. – Wydaje mi się, że powinien poświęcić swój cenny czas na ważniejsze rzeczy niż prowadzenie za rączkę takich jak my.

– Jasne, że powinien, ale jest skazany na was. Lepiej więc nie marnujcie jego cennego czasu.

Steve z zapałem kiwa głową, krzycząc do mnie w duchu na całe gardło: „Zamknij się, mogło być o wiele gorzej!". Mogło. Gryzę się w język, żeby nie dołożyć następnego argumentu.

– Zadzwonię do niego w drodze. – Biorę formularz zgłoszenia i wpycham do kieszeni kurtki. – Umówimy się na miejscu.

– Nie zapomnij o tym. Bernadette zawiadomi techników i patologa. Powiem jej, żeby podesłała wam parę mrówek z ogólnego… nie będziecie do tego potrzebowali armii ludzi. – O'Kelly rusza do drzwi, zgarniając po drodze nasze wydruki. – Jeżeli nie chcecie robić z siebie widowiska przed Breslinem, wlejcie w siebie trochę kawy. Oboje wyglądacie jak kupa nieszczęścia.

• • •

Latarnie w pobliżu zamku jeszcze się palą, ale miasto niemrawo rozjaśnia coś w rodzaju poranka. Nie pada deszcz – to dobrze, gdzieś po drugiej stronie rzeki być może czekają na nas odciski butów albo niedopałki papierosów ze śladami DNA – ale jest przeraźliwie zimno i wilgotno, wokół lamp wiszą mgliste aureole; wilgoć osiada na

skórze i wsiąka głęboko do wewnątrz, aż zaczynasz mieć wrażenie, że twoje kości są zimniejsze od powietrza. Otwierają się pierwsze kawiarnie; czuć zapach smażonych kiełbasek i spalin autobusów.

– Chcesz gdzieś wstąpić na kawę? – pytam Steve'a.

Otula się szczelniej szalikiem.

– Jezu, nie. Im szybciej tam dojedziemy…

Nie kończy, bo nie musi. Im szybciej dojedziemy na miejsce zdarzenia, tym więcej będziemy mieli czasu, zanim pojawi się pupilek pana profesora, żeby pokazać nam, biednym idiotom, jak to się robi. Nie wiem nawet, dlaczego w ogóle w tej chwili mnie to obchodzi, ale miło jest wiedzieć, że Steve'owi też na tym zależy. Oboje mamy długie nogi, oboje idziemy w szybkim tempie i koncentrujemy się na marszu.

Kierujemy się w stronę parkingu dla służbowych samochodów. Łatwiej i szybciej byłoby wziąć mój wóz albo Steve'a, tego jednak nigdy się nie robi. W niektórych dzielnicach nie lubią glin, a każdy, kto rzuci butelką w moje audi TT, straci kończynę. Poza tym są sprawy – nigdy nie wiadomo które, w każdym razie nie można mieć pewności – kiedy przyjazd własnym samochodem byłby równoznaczny z podaniem swojego adresu jakiejś bandzie świrów. Zanim się zorientujesz, przywiążą twojemu kotu cegłę, podpalą go i wyrzucą przez okno.

Na ogół ja prowadzę. Jestem lepszym kierowcą niż Steve i o wiele gorszym pasażerem; ze mną za kierownicą docieramy do celu w znacznie weselszym nastroju. Na parkingu wybieram kluczyki do odrapanego białego opla kadetta. Stoneybatter to stary Dublin, dzielnica robotników i tych, co nie splamili się w życiu żadną robotą, plus garstka yuppie i artystów, którzy kupili tam nieruchomości w czasie boomu mieszkaniowego, bo to taka cudowna i oryginalna okolica, co oznaczało, że nie było ich stać na elegantszą lokalizację. Czasem wolisz samochód, na którego widok ludzie się oglądają. Nie tym razem.

– Niech to szlag – rzucam, wyjeżdżając z parkingu i włączając ogrzewanie. – Nie mogę zadzwonić do Breslina. Muszę prowadzić.

Wywołuję szeroki uśmiech Steve'a.

– Pech. A ja muszę przeczytać zgłoszenie. Nie ma sensu tam jechać zupełnie w ciemno.

Wciskam gaz, żeby śmignąć na żółtym świetle, wyjmuję z kieszeni formularz ze zgłoszeniem i rzucam mu.

– Masz, czytaj. Posłuchajmy dobrych wiadomości.

Przebiega go wzrokiem.

– Zgłoszenie przyjęli na komisariacie w Stoneybatter sześć minut po piątej. Dzwonił mężczyzna, nie chciał się przedstawić. Z prywatnego numeru. – Czyli amator, jeżeli sądzi, że coś mu to da. W ciągu paru godzin zdobędziemy ten numer. – Powiedział, że pod numerem dwadzieścia sześć na Viking Gardens została ranna kobieta. Kiedy dyżurny zapytał, jakie obrażenia odniosła, facet odpowiedział, że upadła i uderzyła się w głowę. Dyżurny spytał, czy kobieta oddycha; facet na to, że nie wie, ale źle to wygląda. Gliniarz zaczął go instruować, jak sprawdzić jej czynności życiowe, ale on odpowiedział: „Przyślijcie tu szybko karetkę" i odłożył słuchawkę.

– Nie mogę się doczekać, żeby go poznać – mówię. – Pewnie zanim ktokolwiek pojawił się na miejscu, już go nie było, co?

– Jasne. Kiedy przyjechała karetka, drzwi były zamknięte na klucz, nikt nie otwierał. Patrol je wyważył i znalazł w salonie kobietę. Urazy głowy. Ratownicy stwierdzili zgon. W domu nie było nikogo innego, żadnych śladów włamania ani kradzieży.

– Jeżeli gość chciał wezwać karetkę, dlaczego dzwonił na komisariat w Stoneybatter? Czemu nie pod dziewięć dziewięć dziewięć?

– Może przypuszczał, że dziewięć dziewięć dziewięć namierzy jego numer telefonu, a mały komisariat nie będzie miał możliwości technicznych.

– Czyli jest kompletnym idiotą – oceniam. – Super. – O'Kelly miał rację, mówiąc o bulwarach: Wydział Rozkopywania Gdzie Popadnie ryje młotem pneumatycznym w jednym pasie jezdni, a drugi zmienił w splątany labirynt, który budzi we mnie chęć posiadania szybkostrzelnej broni automatycznej. – Wystaw światła.

Steve wyjmuje spod siedzenia niebieskiego koguta, wychyla się przez okno i stawia go na dachu. Włączam syrenę. Niewiele się zmienia. Kierowcy usłużnie usuwają się o parę centymetrów na bok,

bo tylko tyle mogą.

– Jezu Chryste! – syczę. Nie mam nastroju na coś takiego. – No więc, jak to się stało, że patrol podejrzewa domową burdę? Mieszka tam ktoś jeszcze? Mąż, partner?

Steve znowu pochyla się nad kartką.

– Nic nie napisali. – Zerka na mnie z nadzieją. – A może się pomylili, co? I to jednak coś większego.

– Nie, kurwa, niemożliwe. To następna pieprzona domowa burda, może nawet nie zabójstwo, tylko kobieta przewróciła się i kopnęła w kalendarz, tak jak powiedział ten facet przez telefon, bo gdyby był choćby cień szansy na coś w miarę porządnego, O'Kelly zaczekałby, aż przyjdzie pierwsza zmiana, i dał to Breslinowi i McCannowi albo innej parze wazeliniarzy… Jezu! – Wciskam pięścią klakson. – Naprawdę będę musiała wysiąść i kogoś aresztować? – Jakiś kretyn na początku korka nagle się zorientował, że siedzi za kierownicą, i rusza; reszta zjeżdża na bok, więc wciskam gaz do dechy, a potem skręcam na most i jesteśmy już na północnym brzegu Liffey.

Nagle, z dala od rozkopów i robotników, zapada prawie zupełna cisza, która wydaje się bezdenna. Długie ciągi wysokich budynków z czerwonej cegły i szyldów sklepów kurczą się i dzielą na małe skupiska domów, wpuszczając światło, które rozlewa się szerzej po niebie i maluje niską warstwę chmur na szaro i jasnożółto. Wyłączam syrenę; Steve sięga za okno i ściąga z dachu koguta. Trzyma go, zdrapuje ze szklanego klosza kropkę brudu i przechyla, sprawdzając, czy jest czysty. Nie wraca do czytania.

Znamy się ze Steve'em od ośmiu miesięcy, partnerami jesteśmy od czterech. Poznaliśmy się przy okazji innej sprawy, kiedy pracował jeszcze w wydziale spraw niewyjaśnionych. Z początku mi się nie spodobał – wszyscy go lubili, a ja nie ufam ludziom, których wszyscy lubią, poza tym za często się uśmiechał – ale to się szybko zmieniło. Kiedy wyjaśniliśmy sprawę, spodobał mi się już na tyle, że wykorzystałam pięć minut swoich niezłych notowań u O'Kelly'ego, żeby mu szepnąć słówko w sprawie Steve'a. Moment był dobry – z własnej inicjatywy nigdy nie szukałabym partnera, lubiłam praco-

wać solo, ale O'Kelly coraz głośniej mówił, że w jego wydziale żółtodzioby, które nie mają o niczym pojęcia, nie działają w pojedynkę – nie żałuję jednak, nawet jeśli ze Steve'a jest taki radosny kutafon. Dobrze jest, kiedy podnoszę wzrok i widzę go naprzeciwko siebie w biurze wydziału, kiedy ramię w ramię pracujemy na miejscu zdarzenia, kiedy siedzimy obok siebie przy stole w pokoju przesłuchań. Bez względu na to, co mówi O'Kelly, mamy wysoki wskaźnik wykrywalności i zwykle chodzimy na piwo, żeby uczcić wyjaśnienie sprawy. Mam wrażenie, jakby Steve był przyjacielem albo prawie przyjacielem. Ciągle jednak uczymy się siebie nawzajem; ciągle nie mamy żadnych gwarancji.

W każdym razie nauczyłam się już go na tyle, by wiedzieć, kiedy ma zamiar coś powiedzieć.

– Co? – pytam.

– Nie daj się prowokować staremu.

Zerkam na niego: Steve przygląda mi się nieruchomym wzrokiem.

– Chcesz mi powiedzieć, że jestem nadwrażliwa? Serio?

– To nie koniec świata, jeżeli myśli, że powinniśmy poprawić pracę ze świadkami.

Pędzę boczną uliczką, dwukrotnie przekraczając dozwoloną prędkość, ale Steve na tyle dobrze zna mój sposób jazdy, że w ogóle się nie denerwuje. To ja zgrzytam zębami.

– Właśnie że jest. Byłabym nadwrażliwa, gdybym się przejmowała, co Breslin albo ktoś inny myśli o naszej technice przesłuchiwania, a to guzik mnie obchodzi. Ale jeżeli O'Kelly myśli, że sami nie damy rady, to będziemy dostawać wyłącznie takie gówniane sprawy i jakiś półgłówek wciąż będzie nam patrzył na ręce. Tobie to w ogóle nie przeszkadza?

Steve wzrusza ramionami.

– Breslin ma nam tylko pomóc. To jest ciągle nasza sprawa.

– Niepotrzebna nam żadna pomoc. Niech się odpieprzą i pozwolą nam robić swoje.

– Odpieprzą się. Prędzej czy później.

– Tak? A kiedy?

Steve oczywiście nie odpowiada. Zwalniam – kadetta prowadzi się jak wózek w supermarkecie. W Stoneybutter trwa niedzielny poranek: po chodnikach biegają amatorzy joggingu, wkurzone nastolatki ciągną psy na smyczach, rozmyślając ponuro nad niesprawiedliwością tego świata, do domu wraca dziewczyna w klubowej kreacji, z gęsią skórką na nogach i butami w ręce.

– Dłużej tego nie zniosę – informuję Steve'a.

Zdarza się, że ludzie się wypalają. Częściej w wydziałach takich jak obyczajówka i narkotykowy, gdzie codziennie masz do czynienia z tym samym obrzydlistwem i nie możesz zrobić nic, żeby to zmienić: wypruwasz sobie żyły, a po mieście ciągle kręcą się te same dziewczyny, tyle że wysyłane przez innego alfonsa; ci sami ćpuni kupują ten sam towar, tyle że od dilerów innego bonzy. Zatykasz jedną dziurę, a gówno tryska w nowym miejscu i wylewa się dalej. To rozstraja ludzi. W zabójstwach, jeżeli kogoś przymkniesz, ocalisz życie komuś, kogo ta kanalia mogłaby zabić. Toczysz pojedynek z jednym mordercą, nie walczysz z całą najgorszą stroną ludzkiej natury, możesz więc pokonać jednego mordercę. W zabójstwach ludzie wytrzymują. Do końca kariery.

W każdym wydziale ludzie wytrzymują znacznie dłużej niż dwa lata.

Moje dwa lata to szczególny czas. Z pracą nie mam problemu – potrafiłabym dzień po dniu spotykać kanibali i dzieciobójców i spokojnie przesypiać każdą noc. Jak powiedziałam, jednego mordercę można pokonać. Walka z własnym wydziałem to coś zupełnie innego.

Steve nauczył się mnie na tyle, by wiedzieć, kiedy wściekam się bez powodu, a kiedy nie.

– I co byś zrobiła? – pyta po chwili. – Przeniosła się z powrotem do wydziału zaginionych?

– Nie. Pieprzyć to. – Nie będę się cofać. – Mam kolegę ze szkoły, jest wspólnikiem w agencji ochrony. Duża firma, pracują dla lepszych gości, jeżdżą za granicę; żadne tam łapanie złodziejaszków w Penney's. Mówił, że gdybym szukała roboty…

Nie patrzę na Steve'a, ale czuję na sobie jego nieruchome spoj-

rzenie. Nie wiem, co mu chodzi po głowie. Steve jest w porządku, ale za bardzo stara się przypodobać innym. Beze mnie, gdyby tylko chciał, łatwo odnalazłby się w wydziale. Zostałby jednym z nich, dostawałby porządne sprawy i dobrze by się czuł wśród chłopaków.

– Świetnie płacą – dodaję. – Poza tym kobiety nie mają u nich źle, to nawet atut. Wielu tych gości chce kobiet ochroniarzy dla swoich żon i córek. Dla siebie zresztą też. Mniej rzucają się w oczy.

– Masz zamiar do niego zadzwonić? – pyta Steve.

Zatrzymuję się na początku Viking Gardens. Chmura rozerwała się i wygląda zza niej promień światła, które oblewa łupkowe dachy i pochylone słupy latarni. W tym tygodniu jeszcze nie widzieliśmy tyle słońca.

– Nie wiem – odpowiadam.

• • •

Znam Viking Gardens. Mieszkam w odległości dziesięciu minut piechotą stąd – nie dlatego, że nie stać mnie na elegantszą lokalizację, ale Stoneybatter po prostu mi się podoba – i jedna z moich tras joggingu prowadzi obok wylotu tej ulicy. Wygląda mniej imponująco, niż sugeruje jej nazwa: zapuszczony ślepy zaułek wiktoriańskich szeregowców, których okna wychodzą wprost na połatane chodniki. Niskie dachy z łupków, firanki w oknach, drzwi pomalowane na jaskrawe kolory. Uliczka jest tak wąska, że samochody stoją zaparkowane dwoma kołami na krawężniku.

Nie możemy już dłużej odwlekać z dzwonieniem do Breslina, bo lada chwila może się pojawić w biurze i stary zacznie go wypytywać, co tam robi. Siedząc jeszcze w samochodzie, nagrywam się na jego poczcie głosowej – na czym być może zyskamy parę dodatkowych minut, być może nie, ale przynajmniej oszczędzę sobie drętwej gadki – i zostawiam mu wiadomość. Informuję go o sprawie jak o czymś śmiertelnie nudnym, co przychodzi mi z łatwością, chociaż wiem, że to go i tak nie powstrzyma. Breslin lubi myśleć, że jest Janem Niezbędnym; do gównianej burdy domowej przyjedzie tak szybko, jak gdyby chodziło o seryjnego mordercę obdzierającego ofiary ze skóry, bo wie, że biedny denat ma przekichane, dopóki on

nie przybędzie na miejsce, żeby uratować sytuację.

– Idziemy – mówię i zarzucam torbę na ramię.

Numer dwadzieścia sześć jest na drugim końcu ulicy; tam gdzie rozpięto taśmę policyjną, stoi oznakowany radiowóz i biały van techników kryminalistyki. Grupka dzieci kręcących się przy taśmie rozbiega się na nasz widok („Aa, uciekajcie! Proszę pani, niech go pani łapie, on kradnie ze sklepu ciastka z czekoladą… Zamknij się, kurwa!"), ale i tak jesteśmy bacznie obserwowani podczas marszu przez całą ulicę. Za firankami w oknach jak w kotle z ukropem kipi od pytań.

– Chcę pomachać – mówi półgłosem Steve. – Mogę?

– Nie zachowuj się jak dzieciak. – Ale też czuję przypływ adrenaliny, chociaż bardzo staram się go opanować. Nawet gdy masz świadomość, że twoje zadanie mogłyby wykonać tresowane szympansy, droga na miejsce zdarzenia działa na ciebie: zmienia cię w gladiatora zmierzającego na arenę, kilka chwil przed walką, przy której imperatorowie skandują twoje imię. Potem rzucasz okiem na miejsce zdarzenia, arena i imperator ulatują jak dym, a ty czujesz się jeszcze gorzej niż zwykle.

Mundurowy przy drzwiach to jeszcze dzieciak o długiej, rozkołysanej szyi i wielkich uszach podtrzymujących za dużą czapkę.

– Detektywi! – wykrzykuje, wyprężając się na baczność i zastanawiając się, czy ma zasalutować. – Posterunkowy JP Dooley. – Czy coś w tym guście. Mówi z takim akcentem, że bez napisów na ekranie nie da się nic zrozumieć.

– Detektyw Conway – przedstawiam się, wyjmując z torby rękawiczki i ochraniacze na buty. – A to detektyw Moran. Kręcił się tu ktoś, kto nie powinien się kręcić?

– Znaczy się… tylko te dzieciaki. – Trzeba będzie pogadać z nimi i z ich rodzicami. Charakterystyczna cecha starych dzielnic: ludzie ciągle interesują się nawzajem swoimi sprawami. Nie wszystkim to pasuje, ale nam tak. – Nie rozmawialiśmy jeszcze z sąsiadami… znaczy się… pomyśleliśmy, że może będziecie chcieli zrobić to po swojemu.

– Słusznie – mówi Steve, wkładając rękawiczki. – Wyślemy

kogoś do sąsiadów. Co było z drzwiami, kiedy przyjechaliście na miejsce? – Wskazuje drzwi domu pomalowane na niewinny jasnoniebieski kolor, rozłupane w miejscu, gdzie wyważył je patrol.

– Były zamknięte – melduje skwapliwie policjant.

– Hm, tego się akurat domyślam – odpowiada Steve, ale uśmiecha się, jak gdyby to był dowcip; w moich ustach zabrzmiałoby to jak bolesny cios. – Jak zamknięte? Na zasuwę, dwa zamki, zatrzask?

– A, tak, przepraszam, chciałem… – Mundurowy czerwienieje. – Jest zwykły zamek wpuszczany i jeden patentowy. Ale nie były zamknięte. Tylko na zatrzask.

Czyli jeżeli zabójca wyszedł tędy, pociągnął tylko drzwi i zatrzasnął za sobą; nie musiał mieć klucza.

– Włączył się alarm?

– Nie. Znaczy się… alarm jest – policjant wskazuje skrzynkę nad nami – ale nie był nastawiony. Nie włączył się, kiedy weszliśmy.

– Dzięki. – Steve znowu uśmiecha się do niego. – Świetnie.

Mundurowy oblewa się pąsem. Steve zyskał sobie fana.

Drzwi uchylają się i wyłania się zza nich głowa Sophie Miller. Sophie, która ma duże brązowe oczy i sylwetkę baleriny, nawet w białym kombinezonie z kapturem wygląda elegancko, więc wielu ludzi próbuje jej wstawiać kit, ale kończy się na jednej próbie. Jest jednym z naszych najlepszych techników kryminalistyki, a poza tym się lubimy. Jej widok przynosi mi niespodziewanie wielką ulgę.

– Hej – wita nas. – Najwyższa pora.

– Roboty drogowe – wyjaśniam. – Cześć. Co jest?

– Wygląda na typową sprzeczkę kochanków. Zaklepaliście sobie wszystkie takie sprawy czy co?

– Lepsze to niż porachunki gangsterów. – Czuję na sobie zaskoczony wzrok Steve'a i w odpowiedzi posyłam mu ostre spojrzenie; wie, że kumpluję się z Sophie, ale powinien też wiedzieć, że nie zamierzam wypłakiwać się w mankiet koleżance z powodu sytuacji w wydziale. – Przy domowych czasem trafia się świadek, który chce mówić. Chodźmy się przyjrzeć.

Domek jest mały; wchodzimy prosto do salonu i jadalni w jednym. W pokoju jest troje drzwi i od razu wiem, dokąd które prowa-

dzą: sypialnia jest po lewej, prosto kuchnia, a po prawej łazienka z prysznicem – układ jest taki sam jak u mnie. Wystrój jednak zupełnie niepodobny. Na laminowanej podłodze fioletowy dywan, ciężkie fioletowe zasłony udające droższe, fioletowa narzuta artystycznie udrapowana na białej skórzanej kanapie, na ścianach niewarte uwagi reprodukcje na płótnie z fioletowymi kwiatami: pokój wygląda, jak gdyby kupiono go przez aplikację Udekoruj Dom, do której należy wprowadzić swój budżet i ulubiony kolor, a na drugi dzień wszystko przywożą vanem.

W środku panuje jeszcze noc. Zasłony są zasunięte; górne światła wyłączone, ale w kątach palą się lampy stojące. Technicy Sophie – jeden klęczy przed kanapą i zbiera taśmą klejącą włókna, drugi opyla proszkiem stolik, szukając odcisków palców, a kolejny rejestruje obraz wideo z miejsca zdarzenia, wolno poruszając kamerą – mają włączone latarki czołowe. W pokoju jest strasznie duszno, cuchnie gotowanym mięsem i świecą zapachową. Technik przy kanapie usiłuje się ochłodzić, szarpiąc przód kombinezonu.

W kominku gazowym pali się ogień, który rzuca rozedrgany blask pełgających płomieni na przegrzany pokój. Kominek jest wyłożony niby-rustykalnym ciosanym kamieniem, który ma pasować do uroczego domku w tradycyjnym stylu. W rogu paleniska spoczywa głowa kobiety.

Ofiara leży na wznak, ze skrzyżowanymi nogami, jak gdyby ktoś ją tam rzucił. Jedna ręka wzdłuż boku, druga nad głową, zgięta pod dziwnym kątem. Kobieta wzrostu może metr siedemdziesiąt, chuda, w szpilkach i obcisłej kobaltowej sukience, ze sztuczną opalenizną i masywnym naszyjnikiem z imitacji złota. Jej twarz przysłaniają blond włosy, wyprostowane i spryskane taką ilością lakieru, że nawet zabójstwo nie zdołało ich zburzyć. Wygląda jak martwa Barbie.

– Zidentyfikowana? – pytam.

Sophie wskazuje ruchem brody stolik przy drzwiach: kilka listów i niewielki plik rachunków.

– Prawdopodobnie Aislinn Gwendolyn Murray. Jest właścicielką domu… tam leży kwit podatku od nieruchomości.

Steve przegląda rachunki.

– Nie ma żadnych innych nazwisk – informuje mnie. – Zdaje się, że mieszkała tu sama.

Wystarcza jednak jeden rzut oka na pokój, bym zrozumiała, dlaczego wszyscy uważają, że pobił ją jej chłopak. Mały okrągły stolik w części jadalnianej jest przykryty fioletowym obrusem; stoją na nim dwa nakrycia z białymi płóciennymi serwetkami złożonymi w fantazyjne fałdy, na porcelanie i błyszczących srebrach migocze odblask płomieni z kominka. Otwarta butelka czerwonego wina, dwa kieliszki – czyste – wysoki świecznik. Świeca wypaliła się do cna, krople wosku zastygły w stalaktyty na świeczniku i twarde plamy na obrusie.

Na obramowaniu kominka widać sporą plamę ciemnej i lepkiej krwi, która rozlała się z głowy kobiety. Nie dostrzegam śladów krwi nigdzie indziej. Nikt nie próbował podnosić ofiary, kiedy upadła, ani nią potrząsać, żeby się ocknęła. Facet po prostu dał nogę.

Upadła i uderzyła się w głowę, powiedział mężczyzna, który zadzwonił na komisariat. Albo to prawda i Kochaś spanikował i zwiał – to się zdarza, porządni obywatele ze strachu przed wplątaniem się w kłopoty zachowują się czasami jak seryjni mordercy – albo pomógł jej upaść.

– Cooper już był? – Cooper to patolog. Lubi mnie bardziej niż innych, mimo to nie czekałby na mnie: jeżeli nie ma cię na miejscu zdarzenia, kiedy on przychodzi na wstępne oględziny, to twój problem, nie jego.

– Właśnie wyszedł – odpowiada Sophie. Jednym okiem czujnie przygląda się swoim technikom. – Powiedział, że ofiara nie żyje, na wypadek gdybyśmy nie zauważyli. Leży blisko ognia, ciepło zaburzyło tempo spadku temperatury ciała i początek stężenia, dlatego trudno określić czas zgonu… między szóstą a jedenastą wieczorem.

Steve ruchem głowy wskazuje stolik.

– Raczej przed wpół do ósmej albo dziewiątą. Gdyby to się stało później, zaczęliby już jeść.

– Chyba że któreś z nich pracuje na drugą zmianę – zauważam. Steve zapisuje to w notesie; informację sprawdzą przydzieleni nam ludzie z ogólnego, kiedy zidentyfikujemy już gościa zaproszone-

go na kolację. – W zgłoszeniu była mowa o obrażeniach w wyniku upadku. Cooper to potwierdził?

Sophie prycha.

– Jasne. To był wyjątkowy upadek. Ma wgniecioną potylicę, a kształt urazu pasuje do narożnika kominka. Cooper w zasadzie nie ma wątpliwości, że to była przyczyna śmierci, ale pewność będzie miał dopiero po sekcji, jeżeli nie znajdzie jadu żaby amazońskiej czy czegoś podobnego. Ma też otarcia i spory krwiak na szczęce z lewej strony, parę wybitych zębów, pewnie też pękniętą kość szczękową, ale Cooper nie chce się zarzekać, dopóki nie weźmie jej na stół. Nie mogła upaść na kominek pod dwoma kątami naraz.

– Ktoś ją uderzył w twarz – mówię. – Upadła tyłem i roztrzaskała sobie czaszkę o kominek.

– Wy jesteście detektywami, ale na moje oko tak to właśnie wygląda.

Kobieta ma długie paznokcie pomalowane kobaltowym lakierem, w takim samym kolorze jak sukienka; wyglądają nieskazitelnie, bez śladu zadrapania. Ładne albumy z fotografiami na stoliku wciąż leżą równo ułożone, nic się też nie stało ze szklanym bibelotem i wazonem fioletowych kwiatów na gzymsie kominka. Nie doszło tu do żadnej bijatyki. Kobieta nie miała nawet szansy się bronić.

– Cooper domyśla się, czym ją uderzył? – pytam.

– Sądząc po kształcie siniaków, pięścią – mówi Sophie. – Najwyraźniej jest praworęczny.

Czyli nie miał broni, co oznaczało, że nie ma z czego zdjąć odcisków palców ani czego powiązać z podejrzanym.

– Jeżeli zadał taki mocny cios, że wybił jej zęby – odzywa się Steve – to musiał sobie stłuc kostki. Nie będzie mógł tego ukryć. Może będziemy mieli szczęście i rozciął sobie skórę, zostawił na jej twarzy DNA.

– Tylko pod warunkiem, że uderzył gołą ręką – wtrącam. – W taki wieczór jak wczoraj pewnie miał rękawiczki.

– W domu?

Wskazuję stół.

– Nie zdążyła nawet nalać wina. Niedługo tu zabawił.

– Słuchaj – mówi Steve z udawaną wesołością. – Przynajmniej mamy zabójstwo. A martwiłaś się, że wyciągają nas z biura, bo czyjaś babcia potknęła się o kota.

– Super, taniec szczęścia odłożę sobie na później – odburkuję. – Cooper powiedział coś jeszcze?

– Nie ma obrażeń, które wskazywałyby na obronę – wylicza Sophie. – Wszystkie części garderoby na miejscu, żadnych śladów niedawnego stosunku, brak spermy w wymazach, możecie więc skreślić tło seksualne.

– Chyba że facet próbował – rzuca Steve. – Powiedziała nie, więc uderzył ją pięścią, żeby była posłuszna. A kiedy się zorientował, co się stało, wystraszył się i dał nogę.

– Wszystko jedno. W każdym razie możecie skreślić dokonaną napaść na tle seksualnym, tak lepiej? – Sophie widzi Steve'a pierwszy raz. Nie zdecydowała jeszcze, czy go lubi.

– Usiłowanie też mi nie pasuje – mówię. – Wchodzi i od razu pakuje jej rękę pod spódnicę? Nie czeka nawet, aż napiją się wina, żeby miał większe szanse?

Steve wzrusza ramionami.

– Dobra. Może i nie. – Nie stroi fochów, czego można by się spodziewać po wielu detektywach, gdyby sprzeciwił im się partner, zwłaszcza w obecności kogoś o wyglądzie Sophie; mówi serio. Nie chodzi o to, że Steve nie ma wysokiego ego – wszyscy detektywi je mają – ale u niego nie wiąże się ze zgrywaniem ważnego samca. Wiąże się tylko z tym, żeby robić swoje i żeby ludzie go lubili, co często się przydaje, a ja zachłannie to obserwuję.

– Znalazł się jej telefon? – pytam.

– Tak. Tam, na stoliku. – Sophie pokazuje długopisem. – Zdjęliśmy odciski. Jak chcesz się nim pobawić, proszę bardzo.

Zanim pójdziemy obejrzeć resztę domu, kucam przy zwłokach i ostrożnie, jednym palcem, odgarniam włosy z twarzy kobiety. Steve przysuwa się do mnie.

Robi to każdy znany mi detektyw z zabójstw; uważnie przygląda się twarzy ofiary. Cywile tego nie rozumieją. Gdybyśmy chcieli mieć w głowie obraz ofiary, żeby nam przypominał, dla kogo pracujemy,

o wiele lepsze byłoby jakieś selfie zrobione telefonem. Gdybyśmy potrzebowali dawki złości, żeby pobudzić krew w żyłach, lepszy od twarzy byłby widok ran. Mimo to, nawet kiedy zwłoki są w strasznym stanie, spędziły tydzień pod gołym niebem w upale albo długo leżały w wodzie i nie ma już prawie na co spojrzeć, zawsze spoglądamy na twarz. Nawet najgorsze bydlaki w wydziale, faceci, którzy ocenialiby biust stygnącego ciała w skali od jednego do dziesięciu, z szacunku popatrzyliby na twarz ofiary.

Kobieta jest przed trzydziestką. Była ładna, dopóki ktoś nie postanowił zmienić jej szczęki w krwawosiny guz; może nie olśniewająco piękna, ale całkiem ładna, zresztą ciężko nad tym pracowała. Ma tonę makijażu, nałożyła na siebie wszystko, co się dało, ale zrobiła to świetnie; nos i podbródek wyglądałyby uroczo jak u małej dziewczynki, gdyby nie za bardzo sterczały z powodu długotrwałej lekkiej głodówki. Rozchylone usta, ukazujące drobne, wybielone zęby i zakrzepłą krew, są ładne, miękkie i pełne; dolna warga lekko opada, co teraz daje wrażenie bezmyślności, ale jeszcze wczoraj prawdopodobnie nadawało jej pociągający wygląd. Powieki, pociągnięte cieniami w trzech kolorach, nie do końca przysłaniają oczy utkwione w rogu sufitu.

– Gdzieś ją widziałam – mówię.

Steve gwałtownie unosi głowę.

– Tak? Gdzie?

– Nie wiem dokładnie. – Mam dobrą pamięć. Steve twierdzi, że fotograficzną; ja tak nie twierdzę, bo wyszłabym na półgłówka, ale poznaję ludzi, których już widziałam, a tę kobietę widziałam na pewno.

Wyglądała wtedy inaczej. Młodziej, ale może dlatego, że więcej ważyła – nie była gruba, po prostu bardziej krągła – i była dyskretniej umalowana: starannie nałożony podkład o ton ciemniejszy od cery, odrobina tuszu na rzęsach i to wszystko. Falujące ciemne włosy były splecione byle jak. Granatowy kostium ze spódnicą, trochę zbyt obcisły, wysokie obcasy, na których lekko się chwiała; oficjalny strój na jakąś specjalną okazję. Ale twarz, delikatnie zadarty nos i opadająca dolna warga były te same.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**. Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- Virtualo
- Publio
- Nexto

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.
Szukajcie ich na portalu Audioteka lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na Facebooku i na Instagramie.